NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Zmiana adresu kosztuje 40 hal.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok XII. Kraków, 8 maja 1915. Nr. 19.

Trzeci Maja 1915 roku.



Tłumy opuszczają kościół Maryacki w Krakowie po uroczystem nabożeństwie.

Trzeci Maja 1915 roku.

Pamiętny dzień i pamiętny rok...

„Jutrzenka majowa“, która swym blaskiem ozłociła tragedyę ginącej Polski, a stała się gwiazdą przewodnią narodu polskiego w mrokach niewoli — i rok najkrwawszy z pewnością w historyi świata, rok wojny narodów!

Nie wiemy jeszcze, czem będzie ten rok w dziejach narodu polskiego... Bo krwawa jego łuna może być świtem wolności, która zawsze rodzi się we krwi i pożodze, lub pożarem, co nowe tylko zgliszcza i nowe groby zostawi w swej spuściźnie na ziemi polskiej... Ale to pewne, że rok 1915 stanie się przełomowym momentem w dziejach świata i w dziejach narodu polskiego. Bo nigdy Polska nie wylała tyle łez i krwi, nigdy na Jej ziemiach nie wyrosło jącego się ducha narodu... Ta potęga dziś jeszcze przemawia do nas z kart Konstytucyi Trzeciego Maja.

* * *

Wśród tylu świetlanych kart naszych dziejów, dzień Trzeciego Maja stał się dla współczesnych pokoleń świętem najuroczystszem i najżywiej przemawiającem do serca narodu. Nie dlatego, abyśmy nie mieli w naszej przeszłości momentów chwały, której blask i dziś jeszcze po przez mgłę stuletniej niewoli przyświeca nam i krzepi serca. Ale dzień Trzeciego Maja — to pamiątka zwycięstwa — trudniejszego, niż na polu walki, z bronią w ręku — bo zwycięstwa lepszych instynktów narodu nad wła snemi ułomnościami, nad wewnętrznym wrogiem prywaty, osobistych ambicyi i społecznej niesprawiedliwości — który największą potęgę narodową musi doprowadzić do rozkładu i ostatecznej ruiny.

W dniu Trzeciego Maja czcimy ostatnią wolę dawnej Polski i jutrznię Jej odrodzenia! Przyjmujemy Jej testament, którego wykonanie i wypełnienie nam powinno przypaść w udziale.

Zmieniły się naturalnie czasy — rozwój społeczny płynie szybkiem tempem i dziś niepodobna zamknąć życia w zbyt szczupłych ramach Konstytucyi Trzeciego Maja. Ale nie o szczegóły — przystosowane do współczesnych warunków — tu chodzi. Z kart tego testamentu przemawia do nas wielka idea odrodzenia wewnętrznego — idea, która musi przyświecać każdemu narodowi, a tembardziej nam...

Dzień Trzeciego Maja jest też dla nas nie tylko świętem przeszłości, nie tylko pamiątką wiekopomnego aktu, którym upadająca Polska okupiła swe błędy, ale także dniem, w którym t a p r z e s z ł o ś ć w z y w a n a s, abyśmy nie upadli na duchu, lecz p r a c o w a l i d l a p r z y s z ł o ś c i przez odrodzenie wewnętrzne i wewnętrzną moc ducha, opartą na solidarności i jedności narodu polskiego.



Trzeci Maja 1915 roku: Uroczyste nabożeństwo w kościele Maryackim w Krakowie.

tyle zgliszcz i mogił, ale i tyle nadziei w lepszą, wolną przyszłość...

I w tym pamiętnym, krwawym roku Kraków uczcił rocznicę majową cicho, smutnie, ale może przez to właśnie uroczyście... Nie było wprawdzie zwykłego pochodu, ale tem głębiej przemawiało do serc polskich uroczyste nabożeństwo, odprawione na pamiątkę Konstytucyi Trzeciego Maja w kościele Maryackim — w pamiętnym roku 1915, w tym roku, w którym do tysiąca świątyń już legło w gruzach na ziemi polskiej...

Brzemienny w dziejowe wydarzenia przeżywamy moment. Historya znów dziś pisze swe karty krwią polską. Ale dlatego właśnie musimy czerpać otuchę do przetrwania, a tę może nam dać tylko wiara w nasze własne siły i niezmożoną potęgę odradza-

Upadająca Polska — nękana wewnętrzną anarchią i wydana na łup czyhającego u jej wrót najeźdźcy, zdobyła się jednak na ten wielki czyn moralnego zwycięstwa — a choć materyalny jego rezultat utopili we krwi naszej wrogowie – przekazała nam jako ostatnie swe słowo, testament wiekopomnej Konstytucyi Trzeciego Maja.

I tu tkwi właśnie źródło, dlaczego pamiątka dnia Trzeciego Maja stała się dla nas świętem narodowem. Bo jest ona nie tylko martwem wspomnieniem przeszłości, ale przykazaniem, jakie pozostawiła rozdarta na trzy części Polska następnym pokoleniom — jest tym mostem, który łączy tragiczną przeszłość z nadzieją lepszej przyszłości.

I właśnie w obecnym 1915 r., gdy doroczne święto narodowe obchodziliśmy w chwili tak tragicznej dla narodu polskiego, ten głos naszej przeszłości, zaklęty w kartach Konstytucyi Trzeciego Maja, powinien przemówić do nas z tem większą siłą, powinien odżyć w naszych sercach, jako duch dawnej Polski, który wzywa nas całą potęgą swej mocy, abyśmy w tej pożodze wojennej, jaka ogarnęła dziś ziemie polskie, w tym ogromie nieszczęść, jakie spadły na szarpany ze wszystkich stron naród polski, nie zatracili jego w e w n ę t r z n e j m o c y — solidarności i jedności!!

S. Ch.

Niezwykłe odznaczenie Polki.

Wojna obecna, która ujawniła niezbicie brawurowe wprost męstwo naszych oficerów i żołnierzy-Polaków, opromieniła także aureolą bohaterstwa i poświęcenia kobietę Polkę. Bo, że Polka nawet z narażeniem życia własnego nie cofała się nigdy przed ofiarą i poświęceniem najcięższem, o tem wiedzieliśmy dawno z naszej własnej historyi, ale nie wiedziała o tem Europa. Do wawrzynowego wieńca sławy kobiet polskich przybył teraz liść nowy, liść zgoła niezwykły. Oto panna Polka otrzymuje złoty krzyż zasługi z koroną na wstędze medalu waleczności, odznaczenie, które otrzymują tylko oficerowie za osobiście okazaną waleczność w ogniu. Zaszczytne to odznaczenie spotkało pannę Maryę Palla-Bocheńską, obecnie sanitaryuszkę szpitala garnizonowego Nr. 15. w Krakowie. Mając ukończony kurs pielęgniarski u dra Rzegocińskiego i mieszkając stale w Rozwadowie, oddała się panna Bocheńska z całem poświęceniem i zaparciem się siebie ratowaniu i pielęgnowaniu rannych w czasie walk, toczących się w tej okolicy pod Zaklikowem i Kraśnikiem, gdzie niejednokrotnie znalazła się w ogniu

nieprzyjacielskim. Brawurowa ta odwaga panny Bocheńskiej zyskała sobie kilkakrotnie uznanie komendy etapowej I armii. Mimo, że przednie straże rosyjskie były już tuż, tuż pod Rozwadowem, wytrwała panna Bocheńska do ostatniej prawie chwili na posterunku i dopiero, kiedy Moskale byli już zaledwie o dwa kilometry od Rozwadowa, wyjechała stamtąd z matką i narzeczonym do Rzeszowa, stamtąd do Kolbuszowej, Jasła, Limanowej i Wadowic, aż wreszcie znalazła się w Krakowie, gdzie po przyjeździe zgłosiła się do pracy pielęgniarskiej.

Niezwykła ta odwaga panny Bocheńskiej nie została jej zapomnianą. Dopytywał się o miejsce jej



Niezwykłe odznaczenie Polki: Marya Bocheńska, odznaczona złotym krzyżem zasługi z koroną na wstędze medalu waleczności.

obecnego pobytu przedewszystkiem Eksc. feldmarszałek porucznik Habermann, który był naocznym świadkiem jej pracy i poświęcenia. Kiedy się wreszcie dowiedziano, że panna Bocheńska pracuje w szpitalu garnizonowym krakowskim, nadeszła tymi dniami dekoracya wojenna przeznaczona dla niej. Uroczystość przypięcia krzyża za waleczność pannie Bocheńskiej odbyła się 25. kwietnia na podwórzu szpitala garnizonowego z niezwykłą powagą. W otoczeniu oficerów, lekarzy wojskowych, sanitaryuszy i pielęgniarek oraz rodziny panny Bocheńskiej, przypiął jej komendant szpitala dr. Wł. Michel dekoracyę wojenną, podniósłszy uprzednio w pięknej przemowie zarówno niezwykłość faktu, że krzyż za waleczność przypada tym razem w udziale kobiecie, jakoteż ofiarne poświęcenie panny Bocheńskiej, które powinno być postawione za wzór wszystkim kobietom monarchii, gdyż jestto wogóle pierwszy wypadek w obecnej wojnie, że podobne odznaczenie otrzymuje kobieta.



Zbiórka metali na cele wojenne: Uczniowie pod kierunkiem swych nauczycieli sortują zebrane przedmioty w budynku gminnym VIII. obwodu w Wiedniu.

Pod znakiem karty chlebowej.

Ponieważ obecna wojna światowa przeciąga się zbyt długo, zarządy wszystkich państw wojujących, między niemi i austro-węgierski, wydały cały szereg zarządzeń, mających na celu zapobieżenie brakowi środków spożywczych, przeszkodzenie ich marnotrawieniu i uchronienie w ten sposób ludności od klęski głodowej.

W pierwszym więc rzędzie zwrócono baczną uwagę na mąkę i pieczywo i rozdzielono zapasy w ten sposób, by mogły wystarczyć na zaspokojenie potrzeb ludności aż do następnych zbiorów. W tym celu wyznaczono pewną ilość mąki lub pie-



Z teatru wojny: Wójt wsi ruskiej obwieszcza rozporządzenie władzy wojskowej



Zbiórka metali na cele wojenne: Przed centralą na Währingu w Wiedniu.



Na linii bojowej w Królestwie Polskiem: Obserwowanie stanowisk nieprzyjacielskich



Niezwykłe odznaczenie Polki: Komendant szpitala garnizonowego Nr. 15. w Krakowie, dr. Wł. Michel, przypina p. Maryi Bocheńskiej złoty krzyż zasługi z koroną.

czywa, jaka przypada na głowę jednego mieszkańca i wydano specyalne karty chlebowe, dzienne i tygodniowe, za okazaniem których jedynie można nabyć te niezbędne dla każdego środki spożywcze.

Karta dzienna, wydana przez dolno-austryackie namiestnictwo, wyznacza na dzień i głowę po 210 gramów chleba i jest zaopatrzoną w trzy kupony, każdy opiewający na 70 gramów. Piekarz, do którego zgłasza się konsument, bada identyczność kartki, odcina kupon odpowiedni i wydaje żądaną ilość chleba po złożeniu ceny kupna w gotówce. Kartka taka nie może być przeniesioną na inną osobę, przytem zaś ważną jest tylko na ten dzień, na który opiewa.

Tego rodzaju zarządzenia wprowadzono już we wszystkich większych miastach monarchii z wyjątkiem Krakowa.



Zbiórka metali na cele wojenne: Wymarsz studentów na zbiórkę. Na przodzie wózek ręczny, ozdobiony kwiatami.

JÓZEF LASOŃ.

ODWRÓT.

(Ze wspomnień Legionisty).

(Prawo przedruku zastrzeżone.)

XI.

Październikowy wieczór się zbliżał. Gęsta mgła opadała powoli na ziemię, jakby śnieżne chmury, które niedługo ziemi dotkną, rzekłbym, zaporę nieprzebytą na drodze stawią. To znów zdaje się, że przed nami morze lodem ścięte, przez które musimy się przeprawić. Wydaje się, że blizko nas jest, idzie się i idzie, drogi jakby nic nie ubywało, wciąż jest zdala od nas chmura mgła. Wreszcie docieramy się wzajem. Otula nas, zimnem przejmuje, oczom zasłania widnokrąg.

Za batalionem oddziałek sanitetów kroczy. Lekarz batalionu, dr. S., nikły, mały, z meszkiem kiełkującym dopiero, na siwym koniu jedzie, prowadzi swój oddział. Z dwudziestu ludzi składał się ten oddział, po pięciu przy każdej kompanii, wyznaczeni jako patrole sanitarne.

W odległości stu kroków na roztelepanych wozach tren ciągnie, pierwszy liniowy, z ośmnastu wozów złożony, naładowanych amunicyą i żywnością. To znów oddane mojej pieczy. O tysiąc metrów za mną jedzie ciągle pytlujący Mroczkowski z trzydziestoma wozami, które oprócz amunicyi i żywności wiozą ubranie, buty, płaszcze i inne części intendantury. Za Mroczkowskim zuchowaty chorąży, Wałęga, aryergardę pełni ze swoim plutonem. Pomiędzy mną a batalionem łączniki rozstawione, które przynoszą mi rozkazy batalionowego, wysyłając roz kazy dalej przez następnych żołnierzy.

Coraz większe grupki maruderów stoją po drodze, czekają na nadjeżdżające wozy. Jednakże nadzieje ich pełzną na niczem, gdyż miejsca już wszystkie zajęte. Widać, że już i saniteci przemęczeni, bo luźnym szykiem idą, jak pielgrzymi, zamieszanie na drodze robiąc. Potykają się, mieszają z łącznikami, które tracę z przed oczu, a tymczasem mogę wleźć z trenem do fosy. Wysłałem tedy podoficera Skoczka, aby zrobił z nimi porządek. Wysoki jak tyka, o twarzy podłużnej, zielonkowatych oczach, żółto jasnych włosach, żołnierz skoczył jak oparzony, ucieszony tem zadaniem. Drwił on nieustannie z sanitetów, śmiał się z nich, co to z nich za wojsko, słowem „słabość“ miał ku „łapiduchom“. Wlazło tedy chłopisko ogromne w środek oddziału sanitetów, dalejże na nich ryczeć:

— Łapiduchy! Kolumnę formuj! Cóż to? Gęsi idą. Jak nie umiecie iść po żołniersku, to jazda połowa na lewo, druga na prawo, środek wolny, łącznikom nie zawadzać.

Ale to był groch rzucony na ścianę. Nic dziwnego zresztą, gdyż wszyscy prawie przemęczeni byli, dziesiąta godzina marszu to była. Wreszcie dostaję sygnał: „stać“. Wstrzymuję przemęczone konie, rozglądam się wokoło. Batalion wstępuje w dolinę. Po przez mgłę widać maszerującą kolumnę, rozpadającą się w dolinie. Po chwili dostaję rozkaz wjechania za batalionem, gdyż odpoczynek nas czeka. Powoli zjeżdżamy z pierwszymi wozami, zatrzymując się przy skręcie na dolinę. Kuchnie miały zjechać na polankę, zgotować strawę dla wygłodniałych żołnierzy. Tren zaś pozostać miał przy drodze. Rów dość szeroki i głęboki oddzielał od polanki. Począłem szukać miejsca, przez które można by dojechać z kuchniami do kompanii. Wreszcie znalazłem dość, według mego mniemania, odpowiednią drogę, na którą rozkazałem skierować wozy. Jednakże dla zbadania terenu przekroczywłem rów, parę kroków postąpiłem naprzód i nagle... zapadłem się po pas w lepki ił. Natrafiłem na moczarzysko, i gdyby nie pomoc kilku żołnierzy, byłbym „wsiąknął“ w bagno, na wieki wieków amen. Początkowo po wyciągnięciu z bagna ogniki poczęły mnie po ciele przechodzić, słowem, dość przyjemnie mi było. Dopiero za chwilę odczułem skutki tej niepożądanej kąpieli. Ustawiczne dreszcze, zimnica tłukła mną, trząsłem się z zimna jak potępieniec. Żołnierze tymczasem odnaleźli dobrą drogę, przez którą ruszyły kuchnie na polankę. Rozpalone ogniska bajeczny przedstawiały widok, szczególnie, kto patrzył z góry na obozujących. Oblepiony mułem, zmarznięty, przysiadłem się do ogniska. Koło mnie oddział sanitetów rozłożył się, żołnierze wyciągli się na rozmokłej ziemi, aby wyprostować przemęczone członki. Czekając cierpliwie na gotującą się strawę, skracali czas rozmową.

Otyły, o szerokich barkach, cokolwiek krzywych nogach, twarzy okrągłej jak słonecznik, orlim nosie, z ukosa spoglądających oczach, sanitet z dwunastej kompanii, Londoński, rej począł między nimi wodzić. Bystre jego oczy biegały ustawicznie, z oczu tych biła energia i spryt.

— Wiecie wy — zapytał po chwili sprzeczających się żołnierzy — co to jest ból?

— Rozmaite są bóle — odparł Sufczyński.

— Tak, rozmaite — potwierdził — Raczej dwa. Fizyczny i duchowy. Ja chcę ukoić tylko ten drugi na razie, który mi utkwił w pamięci. Będąc na patroli w ubiegłym tygodniu, natrafiłem na pół rozwaloną chatę pod Nadwórną. Obok niej stał chłop, właściciel. Na zgliszcza patrzył skamieniałym wzrokiem, pełnym boleści. Ot, krótka historya. Wieczór w chałupie był, przyszli żołnierze, parę słów rzekli mu: „Wynoś się z chaty, za pół godziny zbombardowana będzie!“ Jakże straszna rozpacz musiała go ogarnąć. Chata, która kolebką mu była, którą otrzymał w spuściźnie po ojcu, pochyloną ze starości rękami dźwignął, podparł zapadłą strzechę, w przeciągu pół godziny przemieniła się w gruzy. Cóż zdołał z chaty wynieść? Przyodziewy trochę i jadła. Co się tam w tem chłopskiem sercu dziać musiało!

— A cóż to, on tylko jeden? — odparł Sufczyński — Setki, tysiące takich.

— No tak, tak. Setki, tysiące. Każda polska chata rozwalona, to tragedya chłopa polskiego.

Rozmowę przerwał głos Fabrycego, który zapowiadał formowanie się kolumny. Kto mógł, doskoczył do dymiących kotłów, nabrał trochę na pół ugotowanej zupy, resztę wylano, gdyż nie starczyło czasu na należyte rozdzielenie porcyi. Za parę chwil żwawo się sformowawszy, batalion ruszył, za nim zaś tren.

Skoczek wymyślać znów począł sanitetom, nazywając ich darmozjadami, sformował ich wreszcie, zapowiadając, że w razie rozluźnienia szyków i zawadzania na drodze trenowi, sprawi im gorącą łaźnię. Nie umieliśmy wówczas cenić pracy sanitaryuszy, niesłusznie naśmiewając się z nich, okazało się jednak później, że daleko to cięższa i odpowiedzialniejsza służba, niśli być „liniowcem“. Nie tylko u dobrego „łapiducha“ odwaga i siła być musi, ale i poświęcenie się swoim obowiązkom bez granic, gotowość każdej chwili nieść pomoc rannym.

* * *

— Dwunasta i jedenasta kompania w tyraliery! Atak na wzgórze. Dziesiąta, dziewiąta rezerwa za laskiem! — huknął kapitan Fabrycy, galopując na spienionym koniu na czoło batalionu, za nim adjutant Jakubowski.

Jakgdyby bomby wpadły w kompanie, piorunem rozciągły się w przeogromnego węża, który dokoła wzgórza rozciągnął się pierścieniem. Moskale usadowili się na pozycyi, poczęli prać nieustannym ogniem w coraz bliżej otaczający go pierścień tyralierski. Chwilami, gdy ogień słabnie, słychać daleki odgłos walki w Sokołówce, która przez sześć dni blizko była miejscem nieustannych potyczek i walk. Artylerya również jest w pracy. Wyrzuca z gardzieli pociski, które, padając tuż przed i poza linią tyralierów, nie wyrządzają jednak wielkiej szkody. Chcąc utrzymać się w Sokołówce, musi się zdobyć to wzgórze, z którego Moskale utworzyli rodzaj fortecy. Zaatakowani od południa, skierowali ogień armatni wyłącznie na batalion, podpełzający w tyraliere pod wzgórze. Nocą ucichły strzały. Wiedzą o tem żołnierze, że jeśli do rana nie zdobędą pozycyi Moskali, rankiem muszą się cofnąć, aby zejść z terenu odkrytego ognia, który noc zasłoniła. Przez noc kilkakrotnie ataki się ponawiają. Jednakże Moskale czujnie strzegą pozycyi, odpierają skutecznie ataki.

Przyszła ciemna, mglista noc. Miast blasków księżyca, łuny na południowym wschodzie widać. Wsie, podpalone przez najeźdźców, wyrzucają jasne, ogniste płomienie w górę, do chmur zdające się docierać. Wężyki ogniste czasami kręcą się, wiją się w powietrzu, ginąc w dymie i ogniu. He... he... — śmieje się dusza z goryczy — uroczystość w Polsce, iluminacya... he.. he... he...

Żołnierz, na pozycyi leżąc, mimowoli zwraca głowę w stronę łun, jakby badając, czy łuna nie przybliży się, nie oświeci go na pozycyi, nie odsłoni przed chytrem i czujnem okiem wroga. Ale pożar daleko jest gdzieś, nie dosięgnie nocą zasłoniętych pozycyi.

Ataki nocne co chwila ponawiają się. Już ci to sierżant, wysoki, chudy brunet, o przebiegłych oczach, o wielkim sprycie do wszystkiego, słowem, żołnierz dobry, szelma w całem słowa tego znaczeniu, pół plutonu żołnierza wziął i sunie pod osłoną nocy, aby wziąć placówkę nieprzyjaciela, na tyły zajść. Mglista, zimna noc. Pełzając po ziemi, z pod krzaku na pagórek dotarł Szczerba z żołnierzami na skraj lasku. Leżąc na ziemi, plan żołnierzom wyłuszczał. W prostych, czasem ordynarnych słowach:

— Ty, Piątek, ty tu będziesz! Jak psiakrew posłyszysz, że gwizdnę, wal w tego sołdata, co nad rzeką spaceruje. Widzisz go, co?

— Widzę cień tylko.

— W ten cień właśnie wal. Ale jak gwizdnę! Żeby ci wybiję, jak mi plan zepsujesz. Ty Zjadacz, Halitef, ze mną się suniecie. Z trzech stron weźmiemy się do niego, trzeba tak go sprzątnąć, żeby nie pisnął. A wy, chłopcy, jak sprzątniemy placówkę, suniecie za nami. Rozumiecie?

— Tak... tak! — przyciszonym głosem odszepnęli.

Szyldwach rosyjski, wartujący nad potokiem, miarowym krokiem obchodząc pozycye, bacznie rozglądać się począł i nadsłuchiwać. Krzakami ktoś poruszył, błyskawicznie karabin nastawił w podejrzaną stronę, kociemi oczami począł się wpatrywać w ciemność nocy. Ale powiew wiatru poruszył gałęziami drzew, szmer sprawił wokoło, który uspokoił żołnierza. Rozglądnął się dookoła, sennym wzrokiem popatrzył chwilę na gorejącą zdala łunę, ziewnął przeciągle. Oparty na karabinie głowę zwiesił posępnie, dumał o czemś, o kimś, czy też drzemał. Zatopiony w myślach nie posłyszał podejrzanego szmeru, który się w stronę jego przybliżał. Westchnął głęboko, podniósł głowę do góry, rozprostować chciał ramiona... gdy nagle wytrącony wypadł karabin z dłoni, ktoś poderwał mu nogi, runął jak długi na ziemię. Pochwyciły go żylaste jakieś ręce, usta zatkać chciały. Nie mógł, czy też nie podołał krzyknąć. Ale ciało jego wyprężać się poczęło, rękami objął napastnika i rozpoczęła się straszna walka. Tarzać się poczęli po kałuży błota. Szczerba usiłował ręką ująć pod gardło Moskala, zdusić go, jednakże rękę pochwyciły zęby przeciwnika, wbiły się w nią z wściekłością. Syknął z bólu Szczerba, wyrwać chciał rękę z ust rozwścieczonego żołnierza, ale siły go opadły, czuł, że mdleje. Lecz już Będziński, żołnierz z plutonu Szczerby zdołał dotrzeć do walczących, bagnet z rozmachem wbił w zrywającego się z ziemi szyldwacha. Jęknął, rozkrzyżował ramiona i runął ponownie na ziemię. Będziński, wyciągając bagnet z brzucha Moskala, szarpnął nim gwałtownie, tem cięższą zadając żołnierzowi ranę. Charczenie poczęło się wydobywać z ust przebitego, płącząc poczęły ostatnie wyrazy:

— Żena... dieti... me... me dieti.

Ale nie zwracał uwagi. Przysunęli się Zjadacz i Halitef i szeptem spytali o Szczerbę. Leżał opodal omdlały z bólu. Poskoczył Halitef do potoku, w czapkę wody nabrał, chlusnął nią w twarz Szczerby. Po chwili przyszedł do siebie. Skaleczoną rękę na prędce obandażowano i wysłano dwóch żołnierzy na wywiady.

— Trzeba usunąć tego! — mruknął Będziński, pokazując na leżącą na ziemi postać.

Zjadacz przyklęknął przy trupie, nadsłuchiwać począł. Ale charczenie już ustało, ciało stygło.

— Pochować go trzeba?!

— A no tak!

Wzrokiem się porozumieli i, ująwszy żołnierza, jeden za nogi, drugi za głowę, dowlekli do rzeki i bez szelestu prawie wsunęli zwłoki w mętną otchłań wody.

Szczerba, przyszedłszy zupełnie do przytomności, klnąc pod nosem, wymyślał żołnierzom, że się spóźnili i przez to ohydnie skaleczoną ma rękę. Prawie, że kawał ciała z dłoni wyrwany.

Po chwili wrócili żołnierze z wywiadów. Od S. kilka batalionów Moskali idzie przeciw nam, nie sposób dłużej utrzymać się na pozycyi.

— Psiakrew! — klnie Szczerba — żeby nie ręka, na własną rękę przedsięwziąłbym coś. Placówka sprzątnięta, można by znienacka wpaść na tyły, albo na tren i zrobić piekła na jakie parę godzin. Ale wiadomości o batalionach idących w pomoc ważniejsze są. Chłopcy!

— Cóż nowego? — zapytał sekcyjny Zjadacz.

— Dotrzeć musimy do naszych!

— Nie pójdziemy dalej?

— Nie! Nie można!

— Szkoda!

Wracających z wywiadów przywitali żołnierze, pytając o zajścia. Ale Szczerba, krzywiąc niemiłosiernie ustami, nie odparł im nic, tylko prosto do kwatery batalionowego podążył, zdał raport. Zaraz wysłany został ordynans z raportem do sztabu pułkowego. Dalsza część nocy poczęła spokojnie przechodzić. Oprócz kilku pojedynczych strzałów, wymienionych przez patrole, nic nie zaszło. Łuny na horyzoncie poczęły maleć, znikać zupełnie. Czasem jedynie snop iskier wyleciał w powietrze, znak, że

dach lub wiązanie stodoły, przetrawione ogniem, runęło — iskier na ostatek dając tysiące.

* * *

Nocą przygotowywano tren do odwrotu. Wzgórze i las zasłoniły go przed odwiedzinami pocisków nieprzyjacielskich. Nawracano z pośpiechem wozy, starając się jak najciszej i jak najprędzej. Czasem zaskrzypiały koła, zaklął żołnierz, zarżał koń. Czasem po drodze słychać tętent konia galopującego: to ordynans rozkaz niesie. Gdy zaświta dzień, pierwsze promienie słońca przedrą się z niebios, ruszą ciężko naładowane wozy, pierwsze uchodząc z zagrożonych stanowisk. Zimno nocy jesiennej rozpanoszyło się, kurczą się od zimna członki, palce u rąk drętwieją, lodowaty powiew wichru wieje od gór. Niektórzy trzęsą się od zimna, otuleni w koce wyglądają jak straszydła. Stać w miejscu — źle, usiąść na ziemi — jeszcze gorzej; febra poczyna tłuc ciałem. Chwila wydaje ci się wiekiem, jużby żołnierze ruszyć chcieli, aby się rozgrzać marszem, a tu stać trzeba i... czekać. Podjeżdża ktoś na koniu. To komendant trenu, Mroczkowski.

— Hej! — szeptem mówi — pierwszy ja ruszę, wy za mną. Zrozumiano?

— Zrozumiano!

I on teraz nie w humorze. Nie ma też i między żołnierzami swawolnej rozmowy, spełniają machinalnie rozkaz.

Znużenie przemaga żołnierza. Drzemać poczynają, jedni na wozach siedząc, drudzy na ziemi wyciągnięci, otuleni kocami. Tylko warta bacznie czuwa i obserwuje okolicę.

Szy... szy... szy... bum... zasyczał nagle pocisk armatni i szrapnel opodal trenu pękł. Zerwali się, zamięszanie na chwilę wielkie, poczem już pełna energii, wytężająca praca. Ten pocisk — to hasło do wymarszu. Tren musi ruszyć. Mroczkowski ostrogami konia spiął, krzyknął na treniarzy. Ruszyły wozy, skrzypiąc dawno nie smarowanemi kołami, konie, podcięte batem, zerwały się, szarpiąc powrozami. Niedługo padł i drugi pocisk, w bukowy las ugodził, łamiąc konary drzew. Przerażone hukiem, konie drugiego trenu szarpnęły się gwałtownie i na jeden z wozów trenu Mroczkowskiego wpadły, wepchnęły go do fosy. Na rozkaz Mroczkowskiego rzucili się żołnierze do wydobycia „wykolejonego“ wozu, który z wielkim trudem i po mozolnej pracy udało im się wreszcie wstawić na drogę.

Był to już najwyższy czas. Artylerya rosyjska „macać“ poczęła tren, raz po razu rzucając szrapnele, to znów granaty naprzemian, które uderzały raz przed, drugi raz za trenem. Na jednym z ostatnich wozów siedział Skoczek, który, właściwie będąc chorym, podczas postoju spał tam. Zeledwie tren ruszył, zeskoczył z wozu, jakby wiedziony przeczuciem, bo w parę minut może w wóz ten ugodził granat i roztargał go w strzępy. Woźnicę, Jaremę Orusa, Rusina, siła wybuchu odrzuciła na kilka metrów, Skoczka zaś przewróciła i ogłuszyła. Odprzągnięto pokaleczone konie, woźnicę i Skoczka, prawie że nieprzytomnych, włożono na wóz i ruszono z pospiechem, aby połączyć się z trenem.

Switało. Z za chmur padły pierwsze promienie słońca, które oświetliły drogę. Raźniej zrobiło się żołnierzom, weselej.

Treniarze, koło wozów idąc, czapki niektórzy pozdejmowali, usta ich poczęły szeptać modlitwę poranną.

Od czasu do czasu dał się słyszeć huk armatniego strzału, pękającego gdzieś w oddali pocisku. Tren już był bezpieczny. Czasami salwę słychać było karabinową, to znów pojedyncze strzały. Ale nikt już nie zwracał na to uwagi. To tylko w początkach robiło wrażenie, teraz obijało się to o uszy żołnierskie, jak szum lasu, lub powiew wichru, tak przyzwyczaili się do wojny.

Wreszcie poczęto zwalniać. Już i Mroczkowski, komenderując swawolnie, karcił żołnierzy, znać było, że zadowolony, iż „odwrót“ trenu dobrze się udał. Podjechał ku furze, na której leżeli potłuczeni żołnierze i, wyciągając manierkę „z arakiem“, przemówił:

— Hej, Skoczek, żywyś! Napij się!

— Oj... oj... żywym! — jękliwym głosem odpowiedział — ale pleców i rąk nie czuję. Tak, jakbym całe miał pogruchotane. Zdaje się, żebra mam złamane.

Ale pomimo tych wszystkich boleści, łapczywie chwycił i pociągnął raz i drugi.

— No, no, przyjacielu! — Mroczkowski ostrzegał — nie wszystko, nie wszystko wypij, trzeba dać temu drugiemu, woźnicy. Gdzie on jest?

— Leży tu koło mnie!

— Zbudzić go, jeśli spi. Dajcie mu trochę trunku, niech przyjdzie do siebie.

Poruszył Skoczek woźnicę raz, drugi, ale ten ani drgnął. Pochwycił go za rękę — zimna była.

— No cóż, spi? — niecierpliwie spytał Mroczkowski.

— Gdzie ta spi — krzywiąc się odpowiedział Skoczek — „kitę“ już odwalił. Zimny, jak lód.

— Co gadacie?

— No patrzcie!

Wstrzymano na chwilę tren. Niestety, nic już nie zdołało zbudzić z wiecznego snu woźnicę, Jaremę Orusa. Siła wybuchu odrzucając go, pogruchotała mu kości, tak, że biedak, ułożony na wozie, przy szybkiej jeździe tak niespodzianie zmarł, że nawet siedzący razem z nim Skoczek nie spostrzegł tego.

— No, chłopcy, pochować nieboszczyka trzeba.

Zbiegli się woźnice, Rusini, koledzy zmarłego, przypatrując mu się, poczęli rozprawiać, szeroko gestykulując. W białych koszulach, w wysokich czarnych czapkach wyglądali jak Eskimosi pod biegunem północnym.

Szybko zaczęto kopać grób. Pracowite dłonie żołnierskie z wysiłkiem wyrzucać poczęły łopatkami zmarzłą ziemię, wnet też dół metrowy wykopali.

Owinięto woźnicę w stary koc, obecni uklękli przy ciele, zmówiono na prędce „Zdrowaś“ i ułożono go na wieczny sen. Nie było czasu na długie „ceregiele“ i uroczystości pogrzebowe. Wprawdzie żal każdego życia człowieka, ale trudno, cóż robić? Trzeba przynajmniej, jeśli jest na to czas, poległego uczciwie pochować, podwójna z tego korzyść: czyn miłosierny się spełni i ochrona przed zaraźliwemi chorobami, jak cholera i t. d.

Wyciągniętą szablą Mroczkowski daje znak do dalszego marszu. Wyciąga się z kieszeni resztki pokruszonego czarnego chleba, kawałek zbrukanego cukru, oblepionego tytoniem i innymi „migdałami kieszeniowymi“ — i śniadanie gotowe. Prawa ręka zajęta karabinem, który każdej chwili może być w pracy, lewa szpera w kieszeni, karmi zgłodniały żołądek. Słowem, wszystkie członki w ruchu. Strudzone nogi niosą wprawdzie resztę części ciała, ale z chęcią odmówiłyby posłuszeństwa, gdyby się nadarzyła sposobność. — Żołądek zgłodniały mruczy o swoją porcyę z dnia ubiegłego i z chwili obecnej, po kościach febra tłucze, nos i uszy poczerwieniały od wichru i zimna, w mózgu zaś uporczywa myśl i pragnienie usiadło i pyta się: „kiedy i gdzie spoczynek i jadło będzie!“ Ot i dola żołnierska.

O parę kilometrów za trenem bataliony maszerują, ostatnie kompanie osłaniają odwrót. Po drodze spotyka się grupy jeńców, odprowadzanych przez naszych żołnierzy. Patrzą na nas z podełba, czasem zdziwienie odmalowywa się na ich twarzach na widok młodych, nikłych żołnierzy polskich, których się tak strasznie obawiali i obawiają.

Boć to czasem i komiczny widok: kilkunastu bezbronnych sołdatów moskiewskich, wysokich, barczystych, niektórzy z siwiejącemi już brodami, prowadzi trzech, czterech naszych żołnierzy, Legionistów, malców w całem tego słowa znaczeniu. A jak ostro koło jeńców idą. Nadęci, jak pawie, z dumą spoglądają na „treniarzy“, którzy według ich zdania tylko na furze siedzieć i żreć darmo i dużo umieją. Nie chcą zrozumieć, że tren dobrze zorganizowany i dobrze funkcyonujący, to już pół wygranej walki. Druga połowa wygranej, to jakość i ilość żołnierza.

Pierwsze wozy docierają do rzeki B. Niektórzy żołnierze dopadłszy brzegów, obmywają twarze i ręce, inni nabierają wodę do manierek. Chwila postoju. Przez ten czas napojono konie, rozdano konserwy i sucharv żołnierzom. Znużenie i zmęczenie wielkie, jednak figle nie opuszczają młodych żołnierzy. — Witek, maruder XII. kompanii, wysiadłszy z wozu „kucnął“ na pagórku i do otworzenia puszki z konserwami się zabrał. Ale biedaczysko w trakcie tego usnął z puszką w jednej ręce, z scyzorykiem w drugiej. Już ci figlarze koło niego, Piątek, łobuz z Ludwinowa i Halitef. Z rąk wysunęli mu pełną puszkę i scyzoryk, wsuwając w to miejsce pustą i kawał patyka. Po chwili krzyknie mu jeden z nich nad uchem: „Wstawać... odmarsz!...“ Zerwał się biedaczysko na równe nogi, patrzy na pół przytomny to na tren, to na żołnierzy.

— Co jest? — pyta po chwili.

— Jedziemy! Pakować się! Rynsztunek włóż!

Patrzy przez chwilę na trzymaną w ręku puszkę blaszaną i długo medytuje.

— Cóż tak medytujesz, he? — pyta Piątek.

— Miałem, zdaje mi się, całą puszkę. Nie jadłem nic. Głodnym.

— Ale zdaje ci się, zjadłeś — wmówili w niego, on zaś święcie uwierzył, że już dawno zjadł swoją porcyę. Za godzinę dopiero, przed odmarszem, oddali mu puszkę z objaśnieniem:

— Spiochu! Ciebieby wilki podczas snu zjeść mogły, a nicbyś nie wiedział! He?

Pod wieczór docieramy do D. Tu już znaczy nam się kwatera. Nocą dochodzą i bataliony. — Nie znać u nikogo przygnębienia — jest pewność u wszystkich, że za kilka dni znowu do... Galicyi pójdziemy!...

STANISŁAW STWORA.

W JUTRZENKĘ MAJOWĄ...

Tym... którzy poszli.

Kocham — tych, którzy
nie chylą czoła wichrom i burzy,
ani się skarżą,
choć nogi rani im skalny złam,
ani przed bolem nie padną twarzą,
lecz skrzydłem orła na skał granity
lecą, gdzie drzemie Świt w mgły spowity,
do Słońca — bram!

Kocham — tych, którzy
nie chylą czoła wichrom i burzy
i mają w piersiach Jehowy moc
i mają silne Tytana ramię,
którego życia twardy nie łamie
Znój,
a idą przez krew, trud i męczeństwo
w wichrową noc,
pobudką budząc brać ze snu głuszy
w Bój...
co pęta kruszy...
w Zwycięstwo!!

Szlakiem bojowym Legionów.

Z okazyi częciowego połączenia brygad.

Po pełnej trudów i znoju sześciomiesięcznej kampanii karpackiej udało się szefowi sztabu generalnego Legionów polskich, kap. Włodz. Zagórskiemu, uzyskać częściowe połączenie sił Legionowych drugiego i trzeciego pułku z bohaterską brygadą Piłsudzkiego, operującego na terenie Królestwa Polskiego.

Zespolenie, choćby na razie częściowe, bitnych zastępów polskiego czynu orężnego przyjęło społeczeństwo nasze ze szczerem zadowoleniem, a szeregi Legionistów cieszą się niekłamanie na myśl o możności starcia się z odwiecznym wolności i Polski wrogiem na krwią walecznych przodków i tylu pokoleń narodu zroszonej ziemi ojczystej.

Na możność zmierzenia się z nieprzyjacielem „w domu“ waleczni Legioniści szczerze sobie zasłużyli.

Walki sześciomiesięczne w Karpatach w celu obronienia granic Węgier, to nieustanny pochód waleczności i męstwa, wytrzymałości i szaleńczej odwagi.

Oddziały polskie dokazywały w tym czasie cudów niemal, walcząc częstokroć przeciw dziesięciokrotnie silniejszemu i dobrze uzbrojonemu nieprzyjacielowi, huf polski nigdy jednak w opresyi nawet najstraszniejszej nie zachwiał się, linia jego była prosta, a chęć sprostania trudom i udręce dostojnie niezmożona.

Na plus walk Legionów w Karpatach, poza celami wojskowo-strategicznej natury, należy niezaprzeczenie zapisać tę dobrze zasłużoną sławę i rycerskie imię, jakie zastępy polskie zdobyły sobie u wysokich przedstawicieli armii austro-węgierskiej.



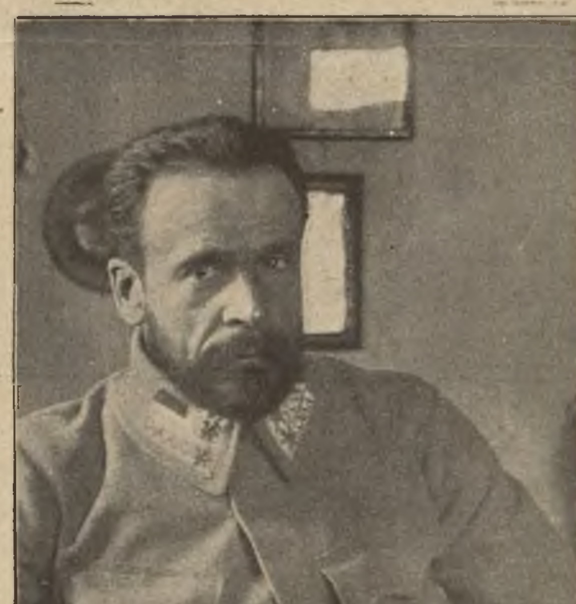
Szlakiem bojowym Legionów: Ekscellencya Durski, naczelny wódz Legionów polskich.

Pobliże walk i wspólność trudów bitewnych pozwoliły węgierskim dygnitarzom wojskowym naocznie przekonać się raz jeszcze, że rycerskie cechy narodu polskiego przechowały się w pełni, a w chwili czynu wystąpiły w całym blasku odwagi, bitności i męstwa.

Dowódcy dywizyi, z którymi Legionom przyszło w ciągu sześciomiesięcznych bojów współdziałać, dawali zawsze wyraz uznaniu i pochwałom dla męstwa ochotniczej formacyi polskiej, a ostatnio komenda dywizyi piechoty w rozkazie dziennym do grupy pułku Hallera podnosiła z uznaniem: „odwaga i nadzwyczajna dzielność polskich Legionistów okazała się w ostatnich dniach znowu w całej pełni. Dziękuję Wam imieniem najświętszych uczuć, dla których walczymy. Waszych znakomitych komendantów: podpułkownika v. Hallera i majora Roję za ich świetne czyny przedstawię do wyższych stanowisk i odznaczeń“.



Szlakiem bojowym Legionów: Szef sztabu generalnego Legionów, kapitan Władysław Zagórski.



Szlakiem bojowym Legionów: Pułkownik Józef Haller de Hallenburg.



Szlakiem bojowym Legionów: Szef sztabu generalnego Legionów, kapitan Wł Zagórski (X) w towarzystwie podpułkownika Sikorskiego na terenie Królestwa Polskiego.

Z niemniejszą pochwałą mówi o Legionach naczelny komendant armii karpackich, baron Pflanzer-Baltin, a najwyższa komenda armii w uznaniu wybornego pełnienia służby w obliczu nieprzyjaciela zamianowała świeżo podpułkownika Hallera pułkownikiem, majorów: Roję i Januszajtisa podpułkownikami, kapitanów: Minkiewicza, Lorsza i Launhardta majorami, pozatem przypadły Legionistom drugiego i trzeciego pułku w udziale dziewięćdziesiąt dwa srebrnych i bronzowych medali za waleczność.

Rodowód czynów drugiego i trzeciego pułku w okresie walk karpackich znaczy długi szereg chwalebnych bojów, potyczek i patroli.

Oręż Legionów zdobywał sławę pod: Rafajłową, Nadwórną, Hwozdem, Mołotkowem, Zieloną, Okór-



Szlakiem bojowym Legionów: Podpułk Bolesław Roja.

mezö, Voenyvoer, Csuzską, Ripinye, Prislopem, Kirlibabą, Papfalvą, Cucyłowem, Pniowem, Mielnikami, Pasieczną, Fentevale, Maksymem, Markową, Sołowiną, Żurakami, Bohorodczanami, Słobodą Niebyłowską i Bortnikami.

Wszędzie w tych miejscowościach czyn polski w krwawym znoju zapracowywał na imię godne dostojnych tradycyi, wysyłając na front walk bitnych rycerzy umiłowanej sprawy wyzwolenia Ojczyzny.

Niezmożonym wałem parli tam Legioniści na wroga, a ostateczny cel krwawego zmagania był jasnym drogowskazem czynów.

Bohaterskie zastępy II. i III. pułku zgromadziły materyał doborowy i bez względu na wiek Legionistów, byli tam chłopcy 15 letni i męże o sześciu krzyżykach na grzbiecie, pokonały trud ponad możność i miarę i z niczem niesłabnącą energią i zapałem idą dziś po nowe, krwawe żniwo.

Na czele rycerskiego hufu stoją Ekscel. Trzaska-Durski i zabiegliwy, pełen trosk o kochanych chłopców, niezmordowanie czujny i przezorny, a tak bardzo polski, szef sztabu generalnego Legionów, kapitan Włodzimierz Zagórski.

Rozgłos i zasłużoną sławę dowódców nieustraszonego zastępu dzielą sprawiedliwie pomiędzy siebie: ulubiony przez Legionistów czcigodny pułkownik Zieliński, pułkownik Józef Haller, podpułkownicy Roja i Januszajtis, legendarni już dziś rycerze polscy, majorzy Minkiewicz, brawurowy i dzielny komendant „żelaznej gwardyi" Fabrycy, rotmistrze ułanów Zbigniew Dunin Wąsowicz i Brzeziński, pełen taktu i rozwagi komendant żandarmeryi polowej, rotmistrz Wacław Harasymowicz, komendant artyleryi, kapitan Jełowicki, oraz liczny szereg szczerze zasłużonych i mężnych oficerów legionowych, którzy w zgiełku bitewnym wykuwają znojnym trudem dostojny indygienat polskiej służbie i bitności.



Szlakiem bojowym Legionów: Major Henryk Minkiewicz, komendant „żelaznej gwardyi".





Oficerowie na granicy batalionu. **Na linii bojowej w Królestwie Polskiem:** W godzinę południową



Szlakiem bojowym Legionów: Podpułk. Maryan Żegota-Januszajtis.

Wysoko ponad wraże kolumny wzniósł się królewski orzeł biały, rozwinięte do wytrwałego lotu jego skrzydła zataczają coraz szersze kręgi, a oko, utkwione w serce Polski — Warszawę, znaczy promienny szlak, którym pójść musi najofiarniejsza dziś reprezentacya idei polskiej — Legiony, po tęsknie oczekiwaną sprawiedliwość dziejową. *Nel.*

Z walk na morzu.

Na wojnie dopiero okazuje się, jak zawodzą często wszelkie teoretyczne przewidywania, które praktyka zupełnie rozwiewa. Zwłaszcza na morzu obecna wojna przyniosła wiele niespodzianek, a właściwie jedną niespodziankę — małą wartość bojową olbrzymich okrętów wojennych, które są bezsilne wobec łodzi podwodnych.

Walka na morzu zamieniła się obecnie w polowanie łodzi podwodnych na okręty, co najdotkliwiej odczuwa Anglia, której okręty nawet u własnych wybrzeży nie są bezpieczne — wobec ciągłych ataków niemieckich łodzi podwodnych.

W tych dniach i flota francuska poniosła dotkliwą klęskę przez stratę jednego ze swych największych krążowników „Leon Gambetta", który zatonął storpedowany przez austryacką łódź podwodną „U 5". Został on trafiony dwiema torpedami w pobliżu półwyspu Apulijskiego. Jedna z torped eksplodowała



Szlakiem bojowym Legionów: Rotmistrz Zbigniew Dunin Wąsowicz, komendant II szwadronu ułanów legionowych.

w dziale maszyn, wobec czego krążownik nie mógł już dalej płynąć i w ciągu pięciu minut zatonął. Załoga okrętu liczyła 720 ludzi, z których tylko 136 zdołano uratować. Admirał Fenet i wszyscy oficerowie zginęli. Załoga została zaskoczoną storpedowaniem okrętu w nocy, podczas snu, czem się tłomaczy, że wielu uratowanych marynarzy było bez ubrania.

Ponieważ aparaty telegraficzne krążownika nie funkcyonowały, straty w ludziach byłyby jeszcze większe, gdyby włoscy semaforyści nie byli interweniowali i nie wysyłali sygnałów ratunkowych na



Pod znakiem karty chlebowej: Młodzież wiedeńska po otrzymaniu dziennej porcyi chleba.



Szlakiem bojowym Legionów: Szef żandarmeryi polowej Legionów, rotmistrz Wacław Harasymowicz

wszystkie strony, a wreszcie sami, mimo ciemnej nocy, nie wyruszyli na pomoc. Pierwsze też pospieszyły na ratunek włoskie torpedowce. Na powierzchni morza unosiły się odłamki okrętu i zwłoki. — Ludzie, którzy jeszcze nie zatonęli, chwytali się odłamków, pływających po powierzchni morza i wzywali pomocy.

Zatopiony krążownik „Leon Gambetta“, zbudowany w roku 1912, był jednym z większych krążowników pancernych. Miał 12.500 ton pojemności, maszyny o sile 29.000 koni, szybkość 22 mil morskich na godzinę.



Niezwykli pasażerowie aeroplanów: Lotnik por. K. (po lewej stronie) z foxterierami, które odbyły z nim wszystkie podróże powietrzne i zostały wywiezione aeroplanem z Przemyśla. Po prawej stronie lotnik, który ostatni wzniósł się z Przemyśla.

Niezwykli pasażerowie aeroplanu.

Jakkolwiek aeroplany tak wielką odgrywają rolę w obecnej wojnie i każdy dziś może obserwować lot tych „ptaków“, stworzonych geniuszem ducha ludzkiego, na podróż w przestworzach nie każdy może sobie pozwolić, choć niejeden patrzy zazdrośnie na szybujący aeroplan i odbyłby chętnie taką przejażdżkę.

Dla większości ludzi będzie to długo jeszcze tylko nieziszczalnem marzeniem. Tem ciekawszym jest fakt, że w obecnych czasach znalazły się szczęśliwe czworonogi, które zaznały już wszystkich rozkoszy podróży powietrznej. Są to foxteriery, Lili i Lumpa, których losy ściśle związane są z historyą toczącej się wojny. Urodzone już po jej wypowiedzeniu w Stanisławowie, stały się własnością lotnika porucznika K., który jako kilkunastodniowe szczenięta przywiózł je aeroplanem do Lwowa, a następnie brał je ze sobą na wszystkie loty, jakie odbywał. Z nim razem dostały się do Przemyśla, przebyły tam całe prawie oblężenie i dopiero na kilka dni przed kapitulacyą twierdzy opuściły ją w aeroplanie wraz ze swym właścicielem. Obecnie są w Gracu i tam, gdy odbywały znów jedną ze swych przejażdżek powietrznych, powiększyła się ich rodzina o trzy małe foxy, które zapewne mieć będą do awiatyki jeszcze większe zamiłowanie, niż ich rodzice.

Poeta czasu.

Stanisław Stwora, dziecię Krakowa, tutaj urodzony w roku 1889, tutaj chodził do szkół, stąd czerpał wiedzę i czar natchnienia.

Od wczesnej młodości umiłował literaturę, czytał bardzo wiele, uwielbiał Wyspiańskiego. Jako uczeń gimnazyum Sobieskiego, mając lat 17, pisze wiersz do jednodniówki gimnazyalnej, wydanej ku uczczeniu jubileuszu Orzeszkowej, wiersz, który



Na pamiątkę wojny: Pomnik, wystawiony przez ks. Augustyniaka w Dąbrowie Górniczej





Na linii bojowej w Królestwie Polskiem: (Prawo przedruku zastrzeżone).

Komendant kompanii z swymi oficerami pod daszkiem szrapnelowym.

Rozdział piwa przy pierwszej kompanii 32 p. p. obrony kraj przez pełniącego służbę chorążego

zwraca powszechną uwagę i zostaje przedrukowany w *Czasie* dnia 17 marca 1907 roku. Jest to pierwsze drukowane słowo poety.

Kraków z jego historyą i architekturą, pamiątkami i obyczajami wytwarza w nim nastrój, wżera się w duszę poety hejnałem wieży maryackiej, konturami bramy floryańskiej, sylwetą Wawelu, spiżowym dźwiękiem Zygmunta... Czaruje go noc snująca się po przez ulice i zaułki, otaczająca płaszczem tajemniczości świątynie, domostwa i omszałe mury starego Krakowa. Pochłania go dzień targowy, gdy w blasku słońca mienią się chusty i sukmany, zapełniające „Sukienniki“ i barwną plamą ozdabiające place. Porywa go bajecznie kolorowy obraz ludu, gdy w święty Stanisław dąży na Skałkę lub podczas uroczystości gromadzi się w świątyniach i ulicach Krakowa. Stwora patrzy na teraźniejszość, ale wyczuwa z niej przeszłość, ma w sobie coś z Ambrożego Grabowskiego, Matejki, Wyspiańskiego, rozmawia z nimi, kocha te mowy, widoki i pomniki dziejowe.

Oryginalny w twórczości. Rozczochrana artystyczna natura nie umie nagiąć się do reguł systematyczności, stąd kolizje od najwcześniejszej młodości, niezrozumienie duszy poety, brutalna rzeczywistość, która go wyrzuca poza ognisko domowe. Te przeciwności, ten tragizm bezdomnego życia sprawiają, że w poecie wyrabia się wcześniej krytycyzm i obserwacja, a z czasem zrozumienie, że on nie pierwszy wśród gniazda szaroty, któremu zlepiano orle skrzydła, by wznieść się nie mogły ku gwiazdom i słońcu.



Poeta czasu: Stanisław Stwora.

Poszedł swoją drogą, która go doprowadziła do tego, że jest już dzisiaj ponad przeciętną miarę poetą czasu, czasu wielkiego tytanicznych bojów, w których i my Polacy bierzemy udział z okrzykiem: „Jeszcze nie zginęła!“

Twórczość Stwory da się ująć w trzy grupy: pierwsza to „Godziny zmierzchu“, do której należą jego poezye liryczne. Druga, „Z ulicy“, zbiór wierszy tchnących obserwacyą i charakterystyką realizmu życia miejskiego, z odczuciem psychologicznych argumentów, urabiających ludzi i kładących na nich swe piętno. Trzecia grupa to „Strofy czasu“, przez które poeta zostaje związany z dziejami naszemi, z tym rokiem wojny, naszych wzlotów, porywów, nadziei. W strofach tych tkwi cały ogrom uczucia, a wypowiedział się dotychczas w wierszach zatytułowanych: „Krzak gorejący“, „Nowym Switom“, „Dniom, które idą“, „Zygmunt dzwon“, „Warszawo!“, „Posłanie do braci“, „O ziemio... ziemio“, „Ze zmartwychwstanę“, „O Austryo!...“

Strofy te, w porządku chronologicznym podane, to nasze dzieje od dnia pierwszego sierpnia roku ubiegłego; każdy wiersz to silniejsze drgnienie społeczeństwa, to moment historyczny, którym przyszłość zajmować się będzie.

„A oto jestem i żywię po — wieki
kość kości waszej i krew waszej krwi,
zjawa słoneczna, sen złoty, daleki,
o zmartwychwstaniu w niezliczone dni...
Ja, Moc Narodu, świetność, tryumf wasz i zgon
zwiastun, wróż dobry... Zygmunt-dzwon!



Z walk na morzu: Francuska flota wojenna (X) Krążownik „Leon Gambetta“, zatopiony przez austryacką łódź podwodną.





Na linii bojowej w Królestwie Polskiem:

Ordynans batalionowy z rozkazem do komendanta kompanii.

Odpoczynek na strzelnicy.

„Przecz-żeście w serce uderzyli moje,
w serce pęknięte — w to serce, co krwawi?
— Jakież-e wami szarpią niepokoje?
jakiż-e los się i dola wam jawi?
Przecz-że się duch wasz i wasza myśl znoi
bracia najdroższi, o synowie moi!“
. . . .

W paru zacytowanych strofach tak się odzywa do nas Zygmunt dzwon, kość kości naszej i krew naszej krwi, o którym wie każde polskie dziecko. W jednym z następnych wierszy odzywa się poeta do naszych braci ewakuowanych, na tułaczce będących:

„Z smutkiem, co rani i krwawi i boli,
z rytmem serdecznym, co na śmierć kołysze,
wygnańcy biedni.., dzieci marnej doli,
ludzie bezdomni... do was list ten piszę,
niech wam tam... wśród tej szarzyzny i zgrzytu
przyniesie zadość słońca i błękitu!“
. . . .

A później krzepi, pociesza, że kres udręczeń bliższy, niż się zdaje i koi opowieścią o tem, co drogie sercu każdego Polaka:

„I cóż, że dzisiaj rozdzieliły nas
koleje zdarzeń i losów zawiłość...
Wszakże myślimy o was w wszelki czas,
zawsze nas wiąże jedna, wielka miłość —
Polska! — więc przecz-że upadać nam w polu
nędznym zbieraczom... chwastu i kąkolu!

„Drodzy! w Krakowie czas, jak bierzył, bierzy,
ta sama troska i smutek nas mroczy,
ten sam mknie hejnał z maryackiej wieży,
Wisła jednako swoje fale toczy,
Rynek te same chowa w sobie czary,
jeno zadumał się coś... Wawel stary!“
. . . .

W ostatnio drukowanym wierszu „O Austryo!“ poeta wziął motto ze Słowackiego: „Bo płaszcz na moim duchu nie był wyżebrany, lecz świetnościami moich przodków świetny“.

„Nie słowem, które dławi niewolnika,
nie z zeschłym liściem, które spada z drzew,
lecz nieśmiertelnem męstwem pól Kraśnika
i przez Lublina przenajdroższą krew
biegnie do ciebie... przez wał — trupów stos,
O, Austryo! ten krzyk i ten głos.
. . . .

„Wiara wzmacniała nas i wiara krzepi,
że świt nasz wzejdzie z przyćmionych mgłą dali
i że na słońce wzrok swój zwrócą ślepi
— i oto wiarę tę... my tobie dali
i krew, co drga dziś, jak harfa eolska...
że ty masz powstać z niej... i żywa Polska!“
. . . .

Płomień uczucia, głębokość myśli zaprawianej nieraz ironią a cieniowany zwątpieniem, przytem muzykalność wiersza składają się na duszę i ciało poezyi Stwory. Oprócz wierszy pisuje też nowele małe, a że gorąco czuje to, co pisze, przez to tchną one niezwykłą siłą. Prace swe drukuje w *Nowej Reformie*, *Głosie Narodu*, *Kuryerze Codz.*, *Nowościach Illustrowanych*, przedtem i w czasopismach lwowskich. „Antologia pieśni nowych“, wydana przez Stanisława Lama w r. b., obejmuje przedruki dwóch jego wierszy: „Krzak gorejący“ i „Nowym Switom“.



Z teatru wojny: Obiad jeńców rosyjskich.



Ze szpitali wojskowych: Grupa rekonwalescentów Polaków w Innsbrucku.

Poeta był czas jakiś w szeregach Legionów i to mu poczytuję za niezwiędły liść wawrzynu. Jest polskim piewcą naszych przeżyć, w pamiętnym 1914 i 1915 roku; nastroił lutnię na ton swojski, który echem obejdzie kraj cały, bo jak się pięknie wyraził w „Posłaniu do braci“:

„Chociaż się w serce wżera ból i trud,
wy błogosławcie mu — boć jest orędzie,
— że kto siewcą był, ten zbierać będzie!“

Zawsze Bóg daje w odpowiedniej chwili wodzów i wieszczów. Do szeregu ostatnich, o ile twórczość jego pójdzie tą świetlaną drogą, zapewne i Stanisława Stworę przyszłość zaliczy.

Dr. Mieczysław Offmański.

POBÓG.

UŁUDY.

Na ulicach było od mundurów szaro. W upalnych promieniach sierpniowego słońca szły siwe szeregi, jeden za drugim w stronę kolei, a hejnały z wieży Maryackiej grały im swoje cudne pozdrowienie „na zwycięstwo, na ochotę“. W sercach ludzkich zapanowało jakieś zachwycenie na wysoki ton napięte, głowy były rozgorączkowane, oczy szły z miłością za tymi, co swoim bagnetem mieli kreślić nowe dla ojczyzny granice, a miasto wrzało echem starej piosenki żołnierskiej, co niegdyś czwarty pułk dzieci warszawskich w olszynowym lasku wiodła do ataku. Zasławski stał na ulicy i wsłuchiwał się w dźwięki tej pieśni, której cztery tylko utkwiły słowa mu w mózgu i raz w raz przewalały się w nim refrenem:

„Polsce, sławie, światu służ!“

I nagle jakaś gorycz zalała mu duszę. I przypomniał mu się ten legion z przed lat przeszło stu, co także służył Polsce, światu i sławie, a właściwie służył tylko sławie i światu, bo o Polsce zapominano zawsze, choć jej synowie w jej imię i dla niej ginęli pod Saragossą i Berezyną, a nie dla sławy i świata.

Zasławski stanął na rozdrożu ducha. Z jednej strony pamięć krzywd, doznanych przez naród, zaciskała mu pięści i budziła złe błyski w oczach, z drugiej refleksya nicości wszelkich wysiłków, przedsięwziętych dawniej, paraliżowała mu wolę i chęć ujawnienia jej w mocnym czynie.

I coś jeszcze...

Coś, co było właściwie poza nim, a co jednak panowało nad nim całym.

Zasławski był urodzonym poetą, choć sobie z tego nigdy nie zdawał sprawy. A był jednym z tych poetów, co wobec najprostszych wydarzeń nie umieją znaleźć właściwej dla siebie drogi i stają przed niemi jak nieporadne dzieci.

Tak też było i teraz.

Zasławski pragnął za wszelką cenę iść tam... razem z tymi szarymi żołnierzami w odmęt boju, byle dalej od siebie, byle się zatracić, byle nie myśleć o tem wszystkiem, co rozhukane morze świadomości wyrzucało teraz ustawicznie na brzegi jego duszy.

A z chaosu dźwięków wyłoniła się nowa zwrotka:

„Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę,
Będziem Polakami,
Nauczył nas Bonaparte,
Jak zwyciężać mamy!...“

doleciał go głos z tłumu, zwrócony do żołnierzy:

Do widzenia za tydzień w Warszawie!

— Do widzenia w Warszawie! — huknęło z tysiąca gardzieli żołnierskich krakowskiego trzynastego pułku, w odpowiedzi Adamowi Rudzkiemu, przyjacielowi Zasławskiego, który stał w tłumie w mundurze polskiego strzelca i raz w raz pozdrawiał odchodzących w bój żołnierzy.

— Jak się macie Zasławski? — zwrócił się Rudzki do zamyślonego poety.

Cóżto, przeżywacie nastroje wojenne? Co? A możebyście tak sami zechcieli wskoczyć w mundurek i przystać do nas na chleb strzelecki.

— A ja myślę — przerwał Rudzki — że ci, którzy na czyn zdobyć się nie mogą, choćby nawet cudzą dyktowany wolą, słabsi są od dzieci. Teraz nie czas na akademickie dyskusye, teraz, kiedy się ziemia pod stopami pali. Ale wy Zasławski jesteście niepoprawny marzyciel. A marzenie, to letarg i sen. Pamiętajcie o tem, że dzieci, które trzymają palec w buzi i idą zapatrzone w gwiazdki na niebie, najłatwiej nabijają sobie guza. Co do mnie, bynajmniej nie myślę zażywać tej przyjemności i dlatego milsze mi jest terez towarzystwo mojego karabinu, niż towarzystwo najpiękniejszej kobiety świata.

teraz dopiero, odkąd stałem się żołnierzem, czuję w sobie pełnię życia. Wam radzę zrobić to samo.

trzeba się zdobyć na tę trochę woli. Ja wiem, co was gnębi. Znam was przecież nie od dzisiaj. Ale właśnie dlatego, że was znam, wiem, że całą energię topicie w refleksyach i rozmyślaniach. A to najgorsze! Zastanówcie się dobrze nad tem, co wam powiedziałem i zróbcie, jak uważacie za lepsze dla siebie. A teraz bywajcie zdrowi, bo mi spieszno.

— Do widzenia... w Warszawie... — krzyknął za nim Zasławski.

— Tak jest! Do widzenia w Warszawie — odpowiedział Rudzki spokojnie.

Zasławski skierował kroki w stronę domu.

wszedł do mieszkania, zapalił lampę i otworzył okno. Noc była księżycowa, jasna.

Pogrążył głowę w dłoniach i zamyślił się, co robić.

— Iść z nimi — to przecież najgorętsze jego pragnienie, marzenia długich lat, jedyne wyjście z tego chaosu...

Zasławski wstał, podszedł do okna. Jakieś wizye poczęły znowu kłębić się w jego głowie...

— Zostać — myślał — znaczy być przy niej, przy tej wyśnionej, przy tej, co stała się jedynym ośrodkiem jego myśli, chceń i pragnień, przedmiotem snów jasnych i jasnym promieniem na szarej kanwie życia... i...

...bezcielesnym ideałem narwanego poety — dopowiedział Chochlik.

A Zasławski tak czekał, tak pragnął tego jednego cudu, tej jednej, wielkiej, świętej chwili, kiedy będzie mógł raz wreszcie spojrzeć w duszę swej zaczarowanej królewny.

Ale cud nie nadchodził.

A Zasławski śnił ciągle na jawie i we śnie.

Otworzył szufladę biurka, wydobył stamtąd kilka kartek zapisanego papieru i począł czytać:

Jedną tylko śnił tęsknotę —
Nim śmierć przetnie sny te złote,
By mógł zmazać swoje winy
I raz jeden, raz jedyny,
Raz uklęknąć przy jej tronie,
U stóp świętych złożyć kwiaty
I ten żar, co w piersiach płonie
Ucałować rąbek szaty
I usłyszeć baśń tęczową —
Głosu jej anielskie tony,
Jedną myśl jej — jedno słowo!
. . . .
Stał się wreszcie cud wyśniony...
. . . .

„Stał się cud wyśniony“... zaśmiał się boleśnie Zasławski... Oh! I jaki cud jeszcze! Kilka słów brutalnego listu i ten policzek moralny, który mu przypomniał, że po ziemi z otwartemi oczami chodzić należy, ażeby komuś nie wejść w drogę.

— Jakie to proste — pomyślał z goryczą — szkoda, że o tem zapominam ciągle. Może Rudzki ma racyę, że w gwiazdy patrzeć nie wolno, a jeszcze gorzej szukać gwiazd po ziemi, bo wtedy można głowę rozbić o słup latarniany...

— Złuda... złuda... Wszystko złuda — szeptał znowu Chochlik.

— Wszystko złuda? — powtórzył Zasławski. — A więc gdzież jest rzeczywistość?! A może rzeczywistością są właśnie ułudy...? Bo czem byłoby życie, czem byłby świat, gdyby nie potęga tych sennych mar ducha ludzkiego. Ona ozłaca swemi promieniami codzienną szarzyznę, ona daje moc i siłę, która wiedzie jednostki i narody w przyszłość...

Zasławski otworzył szufladę i wyjął z niej małą kartkę papieru... Kilka słów skreślonych, kilka słów okropnego zgrzytu... Ale dlaczego właśnie to ma być rzeczywistością?!...

Zapalił zapałkę i przyłożył do listu. Cóż zostało? Proch i pył! A jakaż siła wyrwać może z duszy tęsknotę i ból?... Wyrwać ten szmat prześnionego życia — tę wizyę, nieuchwytną, jak mgła, ale jasną i ożywczą, jak słońce!...

To potęga, która przemawia jeszcze z poza zgliszcz i z poza grobu... Potęga nieśmiertelna i twórcza...

Ułudą była, jest i będzie aż do śmierci... Ona — ułudą szczęścia i męki — ułudą życia...

— — — — — — — — — —

Iść z nimi, czy zostać — jak sęp szarpało to pytanie duszę Zasławskiego...

Spuścił smutnie głowę.



Z teatru wojny: Ruchoma polowa stacya telefoniczna w Karpatach.

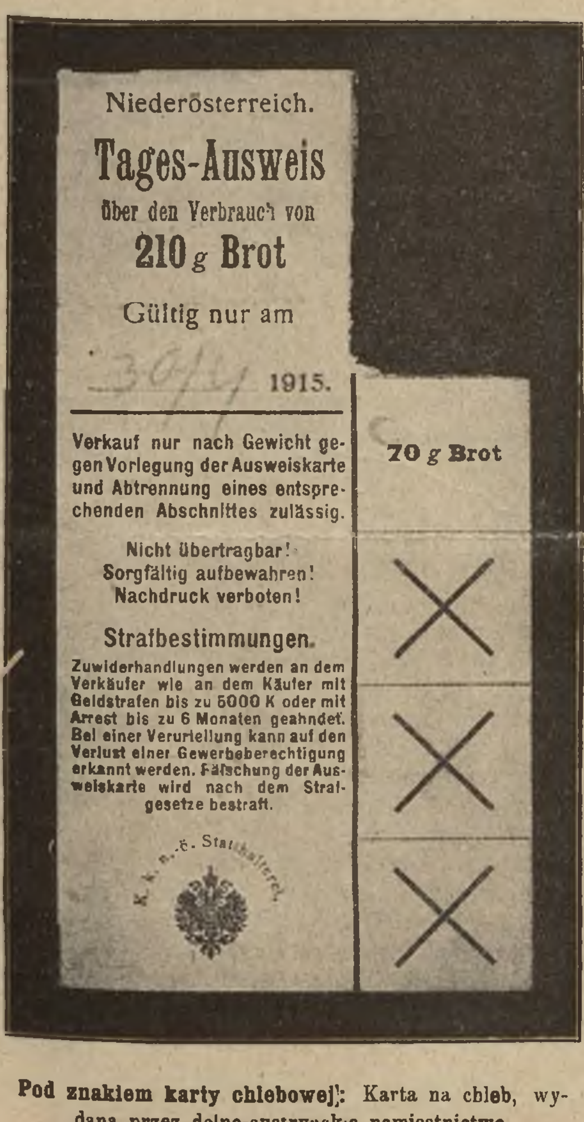
Zbiórka metali na cele wojenne.

Specyalny komitet, na czele którego stoi austryacki minister obrony krajowej, jenerał Georgi, ogłosił odezwę do ludności monarchii z wezwaniem do ofiarowywania niepotrzebnych, a często marnujących się przedmiotów metalowych, które, przerobione, użyte być mają dla celów wojennych, należytość zaś, jaka za nie przypadnie, obróconą zostanie na fundusz wsparcia dla inwalidów wojennych, wdów ich i sierót.

Zbiera się wszystkie metale z wyjątkiem żelaza, zbiórką zaś zajmują się uczniowie szkół średnich, zawodowych, wydziałowych i ludowych pod kierunkiem swych nauczycieli.

W każdem mieście powstał komitet miejscowy, zajmujący się tą akcyą humanitarną, zebrane przedmioty sortuje się i wysyła do Wiednia. W Krakowie czynią się też odpowiednie przygotowania do podjęcia tej czynności, a pomoc swą w przeprowadzeniu jej przyobiecali już dyrektorowie i kierownicy tutejszych zakładów naukowych.

Illustracye, zamieszczone w niniejszym numerze, przedstawiają poszczególne sceny ze zbiórki we Wiedniu, która dała bardzo pokaźny rezultat.



Niederösterreich.
Tages-Ausweis
über den Verbrauch von
210 g Brot
Gültig nur am
30/4 1915.
Verkauf nur nach Gewicht gegen Vorlegung der Ausweiskarte und Abtrennung eines entsprechenden Abschnittes zulässig.
Nicht übertragbar! Sorgfältig aufbewahren! Nachdruck verboten!
Strafbestimmungen.
Zuwiderhandlungen werden an dem Verkäufer wie an dem Käufer mit Geldstrafen bis zu 5000 K oder mit Arrest bis zu 6 Monaten geahndet. Bei einer Verurteilung kann auf den Verlust einer Gewerbeberechtigung erkannt werden. Fälschung der Ausweiskarte wird nach dem Strafgesetze bestraft.
K. k. n.-ö. Statthalterei.
70 g Brot

Pod znakiem karty chlebowej: Karta na chleb, wydana przez dolno-austryackie namiestnictwo.

Na linii bojowej w Królestwie Polskiem.

W dzisiejszym numerze zamieszczamy szereg zdjęć z terenu walki w Królestwie Polskiem, przysłanych nam przez naszego korespondenta. Zdjęcia te, dokonane tuż przed frontem nieprzyjacielskim, dają doskonałe pojęcie o trybie życia w okopach — tych wojennych „koszarach", gdzie żołnierze i oficerowie siedzą nieraz miesiącami. To też widzimy tam nawet pewne urządzenia, służące do „wygody", naturalnie bardzo prymitywne, jak chodniki z desek, ławki i t. p.

Wśród tych interesujących illustracyi znajduje się specyalne zdjęcie — pozdrowienie z linii bojowej dla Krakowa.

Na pamiątkę wojny.

(Do illustracyi na str. 9).

Obecna wojna, najkrwawsza, jaką znają dzieje, będzie stanowić przełomowy punkt w dziejach świata. Wieki miną, a będą o niej pisać i prowadzić nad nią studya historycy. Na wieluż to miejscach staną



Na linii bojowej w Królestwie Polskiem: Pozdrowienie z polskiego pułku dla Krakowa.
(Prawo przedruku zastrzeżone).

pomniki bitew, w których walczyły i ginęły po obu stronach krocie! Ale już dziś ten wielki dramat dziejowy został upamiętniony pomnikiem, który przedstawia nasza illustracya, a który wzniósł ksiądz Augustyniak w Dąbrowie Górniczej. Jest to pierwszy pomnik obecnej wojny na ziemiach polskich, które tak strasznie ucierpiały w tej pożodze wojennej.



Z teatru wojny: Drzewo przedziurawione granatem.
(Prawo przedruku zastrzeżone).

Odznaczenie Krakowianina.

W ubiegłym tygodniu przyniosły pisma codzienne wiadomość, iż Najwyższem postanowieniem Cesarskiem przyznano p. Janowi Planeckiemu, porucznikowi 16. pułku pospolitego ruszenia, wojskowy krzyż zasługi z dekoracyą wojenną za męstwo, okazane na polu walki.

Pan Jan Planecki, nauczyciel szkoły wydziałowej w Krakowie i kierownik przemysłowej szkoły uzupełniającej dla robotnic krawieckich, od chwili wybuchu wojny znajdował się przez szereg miesięcy na placu boju, biorąc wraz z swym pułkiem czynny udział w wielu potyczkach na terenie Galicyi i Królestwa Polskiego. Jako komendant kompanii 16. pułku pospolitego ruszenia odznaczył się tu kilkakrotnie męstwem i przytomnością umysłu, nic też dziwnego, że w ten sposób dano wyraz uznaniu, na jakie sobie rzetelnie zasłużył.

Obecnie, po uznaniu przez wojskową komisyę superarbitracyjną za niezdolnego do dalszej służby frontowej, ze względu na stan zdrowia, przeznaczony został do pełnienia funkcyi lokalnych i przydzielony do wojskowej cenzury listów, pierwotnie w Zakopanem, obecnie w Nowym Targu.



Odznaczenie Krakowianina: Porucznik 16 p. pospolitego ruszenia Jan Planecki (X) z Krakowa, w gronie członków komisyi wojskowej dla cenzury listów w Nowym Targu.

Kronika tygodniowa.

Ponieważ maj mamy już w całej pełni, co każdy poznać może choćby z tego, iż znowu zaczyna się robić zimno, tak, że trzeba ubrać się w paltot, jeśli go kto ma, chciałem i ja odpowiednio nastroić na majowy ton swą kronikarską lutnię, nie wiem przecież, czy mi się to uda. Obecnie chodzą mi po głowie tylko wojenne myśli, otrzymuję bowiem codziennie po kilkanaście listów z zapytaniem, kiedy będzie już koniec tych awantur, ze względu na spodziewaną ewakuacyę jestem jedną nogą w Krakowie, drugą zaś gdzieś aż w Pardubicach, a dusza ze strachu siedzi na ramieniu, niczem mysz na pudle... I jak tu, wobec tego rodzaju kłopotów, być usposobionym majowo?

Na samym początku muszę się z Szanownymi Czytelnikami podzielić treścią listu, który otrzymałem właśnie w chwili, gdym, zabierając się do niniejszej kroniki, dolewał wody do kałamarza, gdzie mi wysechł atrament. Marka była naturalnie zdarta, nie wiem więc, kiedy i gdzie go nadano.

Wyczytałem tam, co następuje:

„Kochany Kronikarzu! Zdziwisz się zapewne, odbierając list odemnie, gdyż nie mieliśmy dotąd sposobności poznać się osobiście. Nie moja przecież wina, iż wyewakuowałem się z tego świata, nim Ty światło dzienne ujrzałeś. W każdym razie muszę się przyznać, że czuję do Ciebie pewien rodzaj sympatyi i co tydzień studyuję pilnie kronikę w *Nowościach Illustrowanych*, które regularnie kupuję we czwartek w trafice Mańkowskiej w Sukiennicach.

Wobec tego Ciebie wybrałem za pośrednika i na Twe ręce składam zażalenie, które zechciej skierować na drogę, uznaną przez siebie za odpowiednią.

Rok rocznie, odkąd przebywam między Wami, cieszę się, gdy się zbliża dzień pierwszego maja, mam wówczas bowiem sporo rozmaitości i słyszę, wprawdzie prawie zawsze to samo, mimo to przecież jestem cierpliwy i nigdy mowcy nie przerywam, choć nieraz nie zgadzam się z jego poglądami. — W osamotnieniu, w jakiem się znajduję, jest to dla mnie w każdym razie pewną rozrywką. Obiecywano mi wprawdzie, że będę miał sąsiada w osobie pana Tadeusza Kościuszki, wątpię jednak, czy doczekam tego, gdyż pono koń mu okulał i nie może opuścić podwórza koszar miejskiej Straży ogniowej.

I tego roku spodziewałem się odwiedzin krakowskiego proletaryatu, między którym zauważyłem około dziewięćdziesiąt procent wschodnich typów, czekałem jednak cały dzień napróżno! Czyżby już socyalistów w Krakowie nie było? A może wzięto wszystkich do wojska?

Otóż, nie wiedząc, jaka tego mogłaby być przyczyna, a czując się pokrzywdzonym, proszę Cię, ujmij się za mną. Niechaj bodaj raz w rok mam tę przyjemność, że widzę koło siebie lud pracujący, a w ten dzień właśnie próżnujący i słyszę mowy, okrzyki, muzykę, śpiewy, a potem głos: „Panowie! Proszę się rozejść!“

Krakowskich pism codziennych nie czytuję, wiem przecież, co się dzieje w świecie, zwłaszcza zaś dobrze jestem poinformowany o wszystkiem od chwili, gdy magistrat ulokował mi pod bokiem przekupki pod parasolami, osoby bardzo sympatyczne, przede wszystkiem zaś wygadane. Wolałbym jednak, byś Ty raczył mnie w jaki sposób poinformować, dlaczego w roku bieżącym o dniu pierwszego maja zapomnieliście!

W nadziei, że nie odmówisz mej prośbie, pozdrawiem Cię serdecznie

Adam Mickiewicz
Kraków, Rynek główny, poste restante“.

Grzeczność wymagała, bym zaraz odpisał, ponieważ jednak dowiedziałem się z treści listu, iż mogę w tym celu użyć i szpalt kroniki, skoro mam do czynienia ze stałym Czytelnikiem, tę właśnie drogę obrałem, zwłaszcza, że oszczędzę na marce, a listów nieopłaconych ani posyłać, ani tem bardziej odbierać nie lubię.

W pierwszym jednak rzędzie muszę sprostować wyrażenie, jakobym miał rzekomo „ujrzeć światło dzienne“, gdyż wiem to z ust, którym wierzyć mogę, iż urodziłem się właśnie w nocy i to w czasie, gdy Kraków oświetlany był przez słynne Towarzystwo dessauskie. Ze przyszedłem na ten padół płaczu później, także nie moja w tem wina. Co się mnie tyczy, chęci miałem jak najlepsze.

A teraz przejdźmy do socyalistów. Otóż, aczkolwiek ewakuacya i asenterunek przerzedziły należycie ich szeregi, wobec czego obchód w dniu pierwszego maja byłby wypadł bardzo słabo, zostało ich przecież dość, brakło natomiast aranżerów uroczystości i mowców, którzy bawią w różnych stronach Europy, a nawet i na polu walki, nie mogli więc w dniu owym stawić się w Krakowie, by zadokumentować, że partya żyje i rozwija się wszerz i wzdłuż. Ja sam spotkałem onegdaj dwu znajomych socyalistów, z których jeden urósł prawie o głowę wyżej ode mnie, choć jeszcze rok temu był tego samego, co i ja wzrostu, drugi zaś narzeka stale, że nie może na sobie dopiąć ani jednego surduta lub kamizelki. O innych częściach garderoby nie wspominam ze względu na przyzwoitość.

Od siebie dodam, iż i mnie brakowało w dniu pierwszego maja dorocznego pochodu demonstracyjnego na Rynek, dekoracyi pomnika najpiękniejszymi okazami z Kazimierza, głośnego hańbowania i nieco fałszywej muzyki i śpiewu. Trudno jednak wymagać, by ktoś przed obiadem, więc wówczas, gdy jest głodny, śpiewał melodyjnie! Z tego punktu widzenia wychodząc, można więc powiedzieć z czystem sumieniem, że większość naszych znakomitych śpiewaków (wyrób krajowy) jest chyba zawsze głodna.

Zabrałem się do nieswojej rzeczy, o muzyce bowiem i śpiewie mam takie pojęcie jak ślepy o kolorach, choć przyznam się, że był czas, kiedy ubiegałem się o katedrę obu tych przedmiotów w szkole głuchoniemych. Nie miałem wówczas protekcyi, podubiegł mnie kto inny. Tego jednak nie żałuję, nie byłbym bowiem dziś kronikarzem.

Umiem tylko trąbić porządnie, a pod tym względem o tyle różnię się od trębacza z wieży Maryackiej, iż on załatwia swą czynność nad obrazem, ja zaś wolę „pod Obrazem“.

Ale to do rzeczy nie należy!

Od pierwszego maja do trzeciego bardzo blizko i tem bliżej, że tego roku trzeci maj wypadł akurat w dniu drugiego. Obchód narodowy odbył się wedle programu, nie obeszło się naturalnie bez polowania na ludzi, co się w potocznym języku nazywa u nas „dobrowolną składką na cele takie a takie“.

Kto może, ten dawać powinien, o tem niema dwu zdań, nie powinno się przecież karotować przechodniów, a pod tym względem grzeszą nieraz bardzo ciężko różne osobniki. Często się zdarza, zwłaszcza w obecnych czasach, że intelligent, aczkolwiek dość przyzwoicie ubrany, jak to mówią „centem nie śmierdzi“, nie zasługuje też absolutnie na spojrzenia z góry, a często i niewłaściwe uwagi kollektantów lub kollektantek.

Tego roku wyszedłem obronną ręką, zaopatrzyłem się bowiem w puszkę i potrząsałem nią energicznie idąc ulicą, wobec czego wszyscy uciekali odemnie.

Nie na miejscu jest także wysyłanie nieletnich dziewcząt z poleceniem kwestowania w restauracyach, kawiarniach i cukierniach.

Z okazyi obchodu Konstytucyi Trzeciego Maja pozwolę sobie nadto skierować uwagę pewną pod adresem N. K. N. Wpadła mi mianowicie w rękę odznaka emaliowana, przedstawiająca białego orła na czerwonem polu i zaopatrzona inicyałami Naczelnego Komitetu Narodowego. Któż jednak wyobrazi sobie moje zdziwienie, gdy na odwrotnej stronie wyczytałem firmę wytwórcy... Schäffler, Wien, Neubaugasse...

Doznałem takiego uczucia, jak nie przymierzając ktoś, kogo znienacka obleją zimną wodą! Czyżby nie było firmy polskiej, krajowej, któraby się była tego rodzaju roboty podjęła? Zdaje mi się, że znalazłaby się nawet i w Krakowie!

Być jednak może, że kierowano się jakimiś wyższymi względami, które zniewoliły Komitet do szukania we Wiedniu wytwórcy, wówczas jednak trzeba było poprosić pana fabrykanta, by swej firmy na każdej odznace nie drukował, bo to niejednemu krew zepsuć może i, jak mnie przynajmniej, zepsuło.

A może fabrykant zrobił je na swój koszt i ryzyko?... W takim jednak razie nie wolno mu umieszczać na nich inicyałów Naczelnego Komitetu Narodowego, chyba że owe litery oznaczają co innego!

Niechaj będą pewni ci wszyscy, którzy zajmują się tego rodzaju rzeczami, że z pewnością, gdyby jakiś obchód urządzano we Wiedniu, odznak nie zamówią w Krakowie... *Sapienti sat!*

Nie myślę o tem rozpisywać się długo i szeroko, kronika miała być bowiem majową, łatwo zaś stałby się mogło, iż byłaby tak przyjemną, jak owa bryndza majowa, która wykrzywiała nam usta już w marcu!

Jak maj, to maj! Ponieważ zaś do przyjemności majowych zalicza się i chrabąszcze, a właśnie na ten rok zapowiadają ich wiele i ja widzę się zmuszonym do poświęcenia im słów kilkorga, wyczytałem bowiem w pismach codziennych, iż tępieniem ich powinni się zająć uczniowie, nie mający w wojennym czasie nic do roboty, albo przynajmniej bardzo mało. Obradowała nad tem podobno i konferencya dyrektorów, tak mnie przynajmniej zapewniał jeden z mych znajomych, który należy przypadkowo do tego siejącego światłość grona.

Nie radziłbym jednak zbytnio się spieszyć, kto bowiem może wiedzieć, czy przypadkiem magistrat nie ogłosi znowu równocześnie z nową maksymalną taryfą jedynego a niezawodnego przepisu, jak przyrządzać młode pędraki z mamałygą lub sosem gulaszowym? W szkole gospodarstwa domowego czynią się podobno tego rodzaju próby, a jedna z pań nauczycielek, opowiadając mi o tem, tak się wyraziła:

— Palce lizać, powiadam panu! Co za delikatny a pikantny smak!... Muszę pana kiedyś umyślnie na nie zaprosić...

Wytłumaczyłem jej jednak, że ja w maju nie spożywam żadnych zwierzęcych pokarmów, żywię się natomiast samą zieleniną i to mi robi bardzo dobrze. Człowiek staje się łagodny i spokojny, jak baranek, wobec czego namawiam i swą połowicę, by rozpoczęła tego rodzaju sposób życia, a obojgu nam wyjść to może tylko na dobre.

Ze względu na owe majowe chrabąszcze i ich pędraki uważam także za zbyt pospiesznie i, powiedzmy, zupełnie niepotrzebnie przeprowadzoną ewakuacyę wron, gawronów i kawek z krakowskich plantacyi. Jak wiadomo, ptaszki te, aczkolwiek pięknie nie śpiewają, są przecież dość pożyteczne, specyalnym ich bowiem przysmakiem są właśnie dobrze wypasione pędraki. Na nich tuczone mają mieć po dobno smak bardzo delikatny, przypominający kuropatwę, tak mnie przynajmniej zapewniał pewien były kucharz, który przez cały czas swej karyery wychodził ze założenia, „iż nic w naturze nie ginie“ i dzięki temu ma dziś dwie kamienice.

Na wypadek oblężenia miasta mielibyśmy byli przysmak nielada, tymczasem dzięki drakońskiemu rozporządzeniu magistratu będziemy się musieli obejść tylko smakiem.

O żołądku powinniśmy zaś pamiętać już choćby tylko z tej przyczyny, iż co chwila robi ktoś nań zamach, jeden sroższy od drugiego. Na jego utrapienie wymyślono bułki brunetki i klajstrowaty chleb, w jego stronę godzi także najświeższa encyklika magistratu z dnia 26. kwietnia, która obwieszcza wszem wobec i każdemu z osobna, iż odtąd babki, pączki, strudle i tym podobne smakołyki wolno wypiekać tylko dwa razy w tygodniu, to jest we wtorek i w piątek, zapasy zaś mają być zjedzone do dnia 15. maja. Opornych czeka grzywna do pięciu tysięcy koron.

Na zakończenie zostawiłem sobie trzy zupełnie luźne wiadomości, nie mające wprawdzie z majem nic wspólnego, zasługujące przecież na zanotowanie.

Przedewszystkiem więc Jego sułtańska Mość, Mahomet V., raczył najmiłościwiej przyjąć tytuł „ghazi“, to jest „zwycięski“ (z uwolnieniem od taksy). Dopytywałem się filologów, czy między tem wyrażeniem, a naszem góralskiem „gazda“, zachodzi jaki związek, nie umiano mi tego powiedzieć. W każdym razie, jako stary znajomy, posłałem mu z tego powodu w swem imieniu i żony serdeczne gratulacye, naturalnie na polowej kartce pocztowej, bo to taniej kosztuje.

W dalszym ciągu zdziwiło mnie ogromnie zawiadomienie zarządu domu gry w Monaco, który nawet w roku wojennym wykazał czysty dochód w kwocie *tylko* czternastu milionów.

Czytając, pomyślałem sobie: „Mój Boże, są jeszcze na świecie ludzie, mający pieniądze!..“ Gdyby tak znalazł się ktoś, ktoby mi „zaforszusował“ bodaj z kilka tysięcy, niechby już koron, kto wie, czy nie wybrałbym się do Monte Carlo, by tam spróbować szczęścia, zwłaszcza, że przed laty wywróżyła mi raz pewna Pytya domorosła, iż stanowczo wygram w karty lub na loteryi. Kiedy i ile, nie powiedziała. Od tego czasu minęło lat już sporo, kilka razy wygrałem w preferka po parę sztonów, ale tego, rzecz oczywista, nie liczę.

Jeden tylko postawiłbym warunek. Jeśli przegram, to już nie moja wina, lecz mojego pecha, jeśli wygram, zyskiem podzielimy się po bratersku po strąceniu dla mnie dyet, odszkodowania za stratę czasu, strach i t. d.

Wybranie się do Monaco byłoby mi nawet na rękę, gdyż po drodze odwiedziłbym pana d'Annunzio, który gwałtownie chciałby wziąć udział w bitwie morskiej na Adryatyku i skosztować, jak smakuje tak zwana „mokra śmierć“. Spodziewa się, iż znalazłby, jak ś. p. Arion, jakiego delfina, którýby go wyratował i doniósł szczęśliwie do brzegu. Wielcy poeci mają zawsze obok siebie jakiegoś zwierza, który dba o ich całość. Przy boku Ariona grał tą rolę delfin, nasz pan Bieder postuguje się w tym celu Nygusiem, znam innego, który się tem szczyci, iż ma tasiemca.

Zagadki do nagrody.

Szarada.

Stasiom w dniu Imienin.

Ułożył Stanisław Ekier, uchodźca z Krakowa.

Kochane Stasie! Kochani Stasiowie!
Do Was uchodźca parę słów wypowie:
My na obczyźnie, jak to wszyscy wiecie
Oczekujemy *pierwsze — drugie — trzecie*
Czwarte Ojczyzny i do *piąte szóste,*
Bo tutaj życie takie smutne, puste..
Prócz innych życzeń, których tu nie zliczę,
Całości Stasiom uchodźcom dziś życzę!

Trójkąt magiczny.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

W miejsce kwadratów i kresek wstawić odpowiednie litery, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwisko polskiego malarza.

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz. 2. Dzielnica w Pradze. 3. Imię żeńskie. 4. Wyrób z ciasta. 5. Delikatna materya. 6. Środek komunikacyjny. 7. Cesarz rzymski. 8. Zaimek zwrotny. 9. Przyimek. 10. Samogłoska.

Zagadka literacka.

Ułożył R. K., Krościenko n. D.

Wymienić po jednem dziele każdego z podanych pisarzy. Początkowe ich litery utworzą nazwisko niedawno zmarłego męża, zasłużonego bardzo dla polskiego społeczeństwa na niwie społecznej i literackiej.

Maupassant?
Krasiński?
Dygasiński?
Ohnet?
Zdziechowski?
Ostrowski?
Świerk?
Jastrzębska?
Strindberg?

Logogryf.

Ułożył R. K., Krościenko n. D.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, utworzy znane polskie przysłowie.

□
— □ —
— — □ — —
— □ —
□
— □ —
— — □ — —
— — — □ — — —
— — — — — □ — — — — —
— — — □ — — —
— — — — — □ — — — — —
— — — □ — — —
— — □ — —
— □ —
□
— □ —
— — □ — —
— □ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Zmarznięta woda. 3. Roślina strączkowa. 4. Godność turecka. 5. Samogłoska. 6. Rzeka w Rosyi. 7. Owoce. 8. Ptak śpiewający. 9. Malarz polski. 10. Nieznaczne wzniesienie terenu. 11. Miasto na Syberyi. 12. Miasteczko w Galicyi. 13. Polski taniec. 14. Instrument muzyczny. 15. Spółgłoska. 16. Ptak. 17. Część twarzy. 18. Owad. 19. Spółgłoska.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Czy wójt Bośniak, Jaś Odic, kupi papugi?

Kwadrat magiczny.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Podane litery uporządkować w ten sposób, aby powstały wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a a a a
e i i l
l n n p
p r y y

Znaczenie wyrazów: 1. Góry w Europie. 2. Rzeka w Azyi. 3. Tytuł. 4. Olbrzym z mitologii skandynawskiej, od którego według podania, pochodzi świat.

Trójkąt magiczny.

Ułożył X. Y., Oświęcim.

Kwadraty i kreski zastąpić w ten sposób literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzą bardzo popularne nazwisko.

□ □ □ □ □ □
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz. 2. Miejska droga. 3. Część obrazu. 4. Rzeka w Galicyi. 5. Przyimek na oznaczenie miejsca. 6. Samogłoska.

Rebus.



Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Zofii M. Schwarz:* **Być albo nie być.** Powieść ze szwedzkiego w dwu tomach.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 17.

Łamigłówka:

Opa
kot
oko
lok
jan
oda
wąż
ely
maj
kra
wąs
rok
rów
elk
akr
lin

Przysłowiówka:

1) Jaka praca, taka płaca.
2) Mądrej głowie dość na słowie.
3) Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie.

Szarada: Karolina

Zadanie do przestawienia: Sparzony na gorącej, zimną studzi wodę.

Logogryf:

R u s i n
T y t u s
C z e c h
M u f t i
C h a r t
P i a n i n o
W y ż e ł
P l e c y
P o g r z e b
K r o a t
L i m b a
D y s k a
K ą k o l
Ż b i k i

Zadanie do przestawienia: Kropla wydrąża skałę.

Zadanie do przestawienia: Komu się zmiele, a komu skrupi.

Przekładanka:

P l a s t e r
I l o c z y n
Ł u c z y w o
S n y c e r z
U r o d z a j
D r a g o n i
Z n a c h o r
K r z y ż y k
I n t r y g a

Bilety wizytowe: Przemysłowiec. Suplent gimnazyalny. Wachmistrz żandarmeryi. Podoficer rezerwowy. Koncepista skarbu.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: D. Sedyńska Kraków, S. Krzyżanowski Podgórze, J. Charzewski Kraków, S. Wysoczański Poznań, M. Planecka Kraków, Z. Sperling Wiedeń, M. Sokołowska Kraków, S. Karwowski Gniezno, H. Bukowska Winnica, R. Topolnicki Wiedeń, B. Osadziński Krosno, D. Bernatowicz Jasło, M. Kalinowska Mor. Ostrawa, T. Nikiel Kraków, F. Horak Oświęcim. S. Medyński Zakopane, D. Schwadron Kraków, J. Stępień Budapeszt, S. Galiński Praga, K. Reichenberg Cieszyn, M. Raszka Cieszyn, J. Zachara Mielec, K. Wyka Biała, K. Makowski Zakopane, J. Jakubowska Kraków, R. Obraczay Morawska Ostrawa, J. Lipski Kraków, A. Gralewski Kraków, H. Królicki Nowy Sącz, J. Górka Kraków, H. Wincencik Kraków, A. Dużak Kraków, J. Antosz Tarnawa, H. Kozicka Tarnawa, S. Wilczyński Kraków, S. Mróz Wiedeń, S. Wiewiórowski Poznań, B. Artosz Wiedeń, K. Ohrenstein Podgórze, Z. Zacharska Nowy Sącz, J. Opolski Praga, A. Siatka Kraków, M. Kowalska Kraków, J. Wysoczański Jasło, R. Wolański Wiedeń, I. Brzostowski Podgórze, H. Trojacka Wiedeń, A. Waga Kraków, K. Langer Berno.

Nagrodę przez losowanie otrzymała p. **M. Sokołowska, Kraków.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Głosy publiczne.

Zarząd Główny Macierzy Szkolnej w Cieszynie wskutek bardzo licznych zapytań wyjaśnia niniejszem, że w wysyłaniu korespondencyi przez Rumunię do państw wojujących pośredniczy za pomocą długoletniego i wypróbowanego przyjaciela Macierzy, nie może jednak brać na siebie żadnej odpowiedzialności za poczty, w których funkcyonowaniu w czasie wojennym oczywiście częste zachodzić muszą i zachodzą trudności i zmiany. Obecnie połączenie z Galicyą wschodnią z powodu posiadania przez Rosyan już tylko jednego toru często doznaje chwilowych przerw, o których niepodobna z osobna donosić, ponieważ to nie wpływa na wysyłkę korespondencyi, choć przedłuża znacznie czas doręczenia pocztówki.

Z powodu wprost ogromnej ilości zamówień na pocztówki rumuńskie, przekraczającej wszelkie przewidywania, tylko część zamówień można było dotąd wykonać i to ze znacznem opóźnieniem z powodu wymienionych wyżej trudności komunikacyjnych, za które obecnie także i poczty i koleje, nawet zagraniczne, również żadnej nie przyjmują odpowiedzialności. Ze względu na niepewność położenia w państwach neutralnych i coraz nowe obostrzenia poczt rosyjskich, nie podobna się narażać na koszta sprowadzenia takiej ilości pocztówek rumuńskich, aby je mieć zawsze w dostatecznej ilości na składzie, ponieważ ani poczta rumuńska, ani tem mniej nikt inny nam ich nawet w zamianę nie przyjmie. Zarząd musi zatem upraszać wszystkich zgłaszających się o cierpliwość, której obecne stosunki koniecznie wymagają.

Obecnie odnośne poczty zagraniczne zupełnie nie przyjmują pocztówek poleconych, tylko zwykłe, z powodu niemożności przyjmowania gwarancyi i to pieniężnej za doręczenie listu na terenie chwilowo i niepewnie okupowanym, tuż obok walczących armii. Pisać na pocztówce rumuńskiej powinno się tak, jakby się było w Bukareszcie. Wszelkie próby korespondencyi do państw, znajdujących się z naszą Monarchią w stanie wojennym z wyjątkiem Wschodniej Galicyi, są obecnie niedopuszczalne i przez cenzurę wojskową konfiskowane. Dlatego też obecnie nie może Zarząd Główny Macierzy Szkolnej pośredniczyć w przesyłaniu korespondencyi do jeńców i zakładników, do których korespondować można tylko przez Towarzystwo Czerwonego Krzyża. Pisać można tylko do tych części Galicyi Wschodniej poza terenem wojennym, w których przypuszczalnie urzędują władze cywilne i poczty państw wojujących, gdyż wszelkie próby korespondencyi do terenów bliskich placu boju są z góry wykluczone.

Z powodu niezmiernej ilości drobnych zapytań w sprawie korespondencyi nie możemy z braku sił biurowych poza naszem pouczeniem i komunikatami do dzienników udzielać szczegółowych wyjaśnień.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego